

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

ROZSTAJNE DROGI

Jack London

*Więc jakże! To teraz opuścić mam miasto,
Gdy ty w nim zostajesz, o luba?*
(Szwabska piosenka ludowa)

Śpiewak — młody człowiek o pogodnej twarzy i wesołych oczach dolał wody do garnka z perkoczącą fasolą. Później wyprostował grzbiet i polanem odpędził psy, które cisnęły się wokół skrzyni na żywność i kuchennych przyborów. Miał błękitne oczy i długie złote włosy. Przyjemnie było popatrzeć na jego młodzieńczą świeżość. Przyćmiony sierp księżycy na nowiu rysował się nad pierścieniem zbitych gęsto, okrytych śnieżnymi czapami jodeł, co odcinały obozowisko od reszty świata. W górze powietrze było tak czyste i zimne, że gwiazdy zdawały się pulsować rytmicznym, szybkim ruchem, jak gdyby tańczyły. Na południowym wschodzie blada zielonawa luna zapowiadała początek cudownego widowiska — zorzy polarnej. Koło ognia dwaj mężczyźni leżeli na niedźwiedziej skórze, która zastępowała im łóżko. Skórę oddzielała od śniegu sześciocalowa warstwa gałązek jodłowych. Koce były zwinięte. Od chłodu zabezpieczał rodzaj namiotu — płachta brezentowa umocowana do dwóch drzew i nachylona pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Zatrzymywała ona żar bijący od płomieni i kierowała go ku niedźwiedziej skórze. Czwarty mężczyzna, siedząc na przysuniętych blisko ognia sankach, naprawiał mokasyny. Na prawo stos zmarzniętego żwiru i kabestan własnej roboty wskazywały miejsce pracy tych ludzi, gdzie co dzień ryli mozolnie w opłacalnej żyłce złota. Na lewo cztery pary zatkniętych prosto rakiet śnieżnych świadczyły o sposobie poruszania się poza udeptanym kręgiem obozowiska.

Ludowa piosenka ze Szwabii brzmiała dziwacznym patosem pod zimnymi gwiazdami Północy i nie nastrajała dobrze kopaczy, którzy po całodziennych trudach wypoczywali koło ognia.

Przejmowała serca tępy bólem i tęsknotą podobną do kurczów głodowych. Dusze pędziła na południe, za góry, ku słonecznym krajom.

— Na miłość boską, Sigmund, zamknij gębę! — obruszył się jeden z mężczyzn.

Załamął ręce, lecz przed wzrokiem towarzyszy ukrył je w fałdach niedźwiedziej skóry, na której leżał.

— A czemu to, Dawidzie Wertz? — zapytał Sigmund. — Dlaczego mam nie śpiewać, kiedy weseli się we mnie serce?

— Bo nie czas na śpiewanie. Nikt cię o to nie prosi, rozumiesz? Spójrz lepiej dokoła! Pomyśl o żarciu, jakim od roku okłamujemy brzuchy. Pomyśl o naszym życiu i bydlęcej harówce!

Tak skarcony złotowłosy Sigmund obrzucił wzrokiem obozowisko. Zobaczył oszronione wilczury i buchające parą oddechy towarzyszy.

— No i dlaczego sercu nie wolno się weselić? — wybuchnął śmiechem. — Dobrze się nam wiedzie, doskonale! A żarcie... — Zgiął rękę w łokciu i z lubością pogładził nabrzmiały biceps. — Prawda, żyjemy i harujemy jak bydlaki, ale zapłata jest królewska. Każda miska da dwadzieścia

dolarów. Żyła ma przecież osiem stóp grubości. To drugie Klondike — wszyscy o tym wiemy. Jim Hawes, co koło ciebie leży, dobrze wie i wcale się nie skarży. Albo Hitchcock! Szyje mokasyny niczym stara baba i czeka właściwej pory. Tylko ty nie umiesz czekać! Nie chcesz pracować do wiosny, kiedy przyjdzie czas na płukanie. Wtedy będziemy bogaci, bogaci jak królowie! Ale ty nie umiesz czekać. Pilno ci wracać do Stanów. I mnie pilno. Tam się przecie urodziłem. Ale ja jestem cierpliwy, co dzień złoto żółci się na misce niczym masło w kierzance. A ty chcesz się bawić i jak dzieciak kaprysisz, żeby zaraz! Ha! Czemu nie mam śpiewać?

*Za roczek, za roczek, gdy grona dojrzeją,
Powrócę z daleka do lubej,
A jeśli mi tylko dochowasz wierności,
Wieczystym zwiążemy się ślubem.
Za roczek, za roczek, gdy czas mój przeminie,
Miłości wytrzymam złą próbę —
I jeśli mi tylko dochowasz wierności —
Wieczystym zwiążemy się ślubem...*

Nastroszone, warczące psy przysunęły się bliżej ognia. Miarowo zachrząściły kroki na śniegu, a po każdym zgrzytnięciu słyhać było wyciąganie rakiety z miążkiego puchu — jak gdyby ktoś przesypywał cukier. Sigmund przestał śpiewać, obrzucił wilczury obelgami i szczapami drewna. Wkrótce odziana w futra postać zjawiała się w kręgu światła. Młoda Indianka odpięła rakietę śnieżną, odrzuciła w tył kaptur peleryny z wiewiórczych skórek i wyprostowana stanęła pośród kopaczy. Sigmund i dwaj mężczyźni leżący na niedźwiedziej skórze powitali ją banalnym: „Jak się masz, Sipsu!”, ale Hitchcock zrobił miejsce na sankach, żeby dziewczyna mogła usiąść koło niego.

— No i co słyhać, Sipsu? — zapytał mówiąc na modłę swego gościa mieszaniną łamanej angielszczyzny i zniekształconego narzecza Chinook. — Wielki jeszcze głód w wiosce? Czy wasz czarnoksiężnik wyniuchał wreszcie, dlaczego brak zwierzyny i nie ma łosi w okolicy?

— Tak, wielki głód. Zwierzyny jest mało. Niedługo zaczniemy zjadać psy. Ale czarnoksiężnik odkrył przyczynę wszelkiego zła. Jutro złoży ofiarę i oczyści wioskę.

— A cóż to będzie za ofiara? Noworodek czy jakaś biedna babina, stara i niedołączna, z którą tylko kłopot, lepiej się więc jej pozbyć?

— Inaczej to wygląda. Zmartwienie jest wielkie i czarnoksiężnik wybrał wielką ofiarę: córkę wodza, mnie, Sipsu.

— Do diabła!

Słowa wolno spłynęły z warg Hitchcocka — ciężkie, mocne, brzemienne zdziwieniem i troską.

— Stoimy dzisiaj u rozstajnych dróg, ty i ja — ciągnęła spokojnie Indianka. — Dlatego przyszedłem, żebyśmy mogli spojrzeć na siebie ostatni raz, tylko jeden raz.

Pochodziła z pierwotnego gniazda, żyła zatem surowo i hołdowała surowym tradycjom. Na świat patrzyła po stoicku, a ofiary ludzkie uważała za nieodłączną część naturalnego porządku rzeczy. Moce, które rządzą światłem i mrokiem, powodzą i mrozem, rozkwitaniem pączków i opadaniem liści, zagniewane domagają się prześlągania. Gniew potrafią sycić na różne sposoby. Zsyłają śmierć rozmaicie: we wzburzonej wodzie, na zdradliwej krze lodowej, w uścisku szarego niedźwiedzia albo w strasznej chorobie, która chwyta ludzi w ich własnych wigwamach, dręczy kaszlem, a życie z płuc wywleka ustami i nosem. Moce przyjmują również ofiary. Ale to wychodzi na jedno. Czarnoksiężnik zna ich myśli i wybiera bezbłądnie. To przecie naturalne! Śmierć przychodzi różnymi drogami, ale

zawsze jest tym samym — objawieniem wszechpotężnej, nieodgadnionej siły.

Hitchcock jednak był tworem młodszego świata i nie hołdował pokornie tak pierwotnym tradycjom.

— Nie, Sipsu — powiedział. — Jesteś młoda i w pełni radosnego życia. Wasz czarnoksiężnik to głupiec. Dokonał złego wyboru. Ofiara nie może się spełnić.

— Życie nie jest łaskawe — odpowiedziała z uśmiechem. — Nie jest łaskawe z wielu powodów. Nas dwoje stworzyło inaczej: jedno jest białe, drugie czerwone. W tym pierwsze zło. Później skrzyżowało nasze drogi, a teraz znowu je rozdziela. Nic nie poradzimy. Jednego razu, kiedy bogowie się gniewali, twoi bracia przyszli do naszej wioski. Przyszli trzej biali mężczyźni, wielcy i silni. Mówili, że ofiara nie może się spełnić. Prędko umarli, a ofiara się spełniła,

Hitchcock skinął głową na znak, że usłyszał wszystko i zrozumiał. Później odwrócił się i zawołał głośno:

— Hej, chłopcy! W indiańskiej wiosce ludzie powariowali. Szykują się do zamordowania Sipsu. Cóż wy na to?

Wertz spojrzał na Hawesa, a Hawes na Wertza. Żaden się nie odezwał: Sigmund spuścił głowę i zaczął głaskać owczarka, który położył mu łeb na kolanach. Shepa przywiózł ze sobą z dalekiego świata i był do tego psa bardzo przywiązany. Dostał go od pewnej dziewczyny wraz z błogosławieństwem na drogę, kiedy ostatni raz całowali się przed odjazdem Sigmunda na Północ. O dziewczynie tej wiele myślał, a jej podobizna, którą nosił na piersi w małym medalionie, często pobudzała go do śpiewania.

— I cóż wy na to? — powtórzył Hitchcock.

— Może sprawa nie przedstawia się aż tak poważnie — odrzekł z namysłem Hawes. — To pewnie tylko dziewczęńskie bajanie.

Hitchcock zauważył niechęć towarzyszy. Wezbrała w nim gorąca fala gniewu.

— Nie o to chodzi! — zawołał. — Stawiam pytanie: czy zachowamy spokój, jeżeli tak jest naprawdę? Co wtedy zrobimy?

— Nie widzę racji, żeby się wtrącać — powiedział Wertz. — Jeżeli tak ma być, to będzie i koniec. Już takie obyczaje mają ci ludzie. To kwestia ich religii, nie nasza sprawa. Nasza sprawa to dobyć ile się da złota i co tchu wiać z tego wyklętego przez Boga kraju. To miejsce w sam raz dla bydła, nie dla ludzi. No, a te czarne diabły to przecież nic innego jak bydlaki. Zresztą wtrącanie się byłoby cholernie głupią polityką.

— Z ust mi to wyjąłeś — zawtórował Hawes. — Jest nas tylko czterech. Do Yukonu i najbliższej białej twarzy mamy trzysta mil. Nie poradzimy przecie pół setce Indian. Cóż mamy robić? Jeżeli pokłócimy się z nimi — musimy zmykać, jeżeli wdamy się w bójkę — zginiemy. A najważniejsze to, żeśmy znaleźli dobrą żyłę i, na Boga, nie mam zamiaru jej zostawić.

— Ja także — dorzucił Wertz.

Zirytowany Hitchcock zwrócił się do Sigmunda, który podśpiewywał z cicha:

*Za roczek, za roczek, gdy grona dojrzeją,
Powrócę z daleka do lubej,
A jeśli mi tylko dochowasz wierności,
Wieczystym zwiążemy się ślubem.
Za roczek, za roczek, gdy czas mój przeminie,
Miłości wytrzymam złą próbę —
I jeśli mi tylko dochowasz wierności —*

— Cóż, Hitchcock — mruknął wreszcie — mają rację. Ja trzymam z nimi. Kilkudziesięciu zuchów postanowiło zabić dziewczynę. Nic tu nie poradzimy. Jeden szturm i zmiotą nas z powierzchni ziemi. I co z tego? Przecież i tak zostanie im dziewczyna? Nie warto występować przeciw obyczajom tych ludzi, chyba że się ma przewagę.

— Mamy przewagę! — wybuchnął Hitchcock. — Czterech białych da radę sto razy większej bandzie czerwonych. No i pomyśl o dziewczynie!

Sigmund poklepał swojego psa.

— Właśnie myślę o dziewczynie. Ma oczy błękitne jak niebo w lecie i roześmiane jak morze w lecie. Jej włosy są jasne jak moje i splecione w warkocze nie cieńsze niż ramię tęgiego chłopca. Czeka na mnie tam, w lepszym kraju. Czeka od dawna, więc dzisiaj, kiedy widać już grubą forszę, nie będę odrzucał szczęścia.

— Wstydziłbym się spojrzeć w te błękitne oczy pamiętając o czarnych oczach kobiety, której krew plami moje ręce — syknął Hitchcock, który przyniósł na świat honor i rycerskość, a także zwyczaj robienia pewnych rzeczy w imię ich samych, nie zatrzymując się w pół drogi, żeby ważyć i mierzyć.

Sigmund pokręcił głową.

— Nie zawrócisz mi w głowie, Hitchcock, ani zmusisz do robienia głupstw dlatego, żeś sam szalony. To prosta handlowa kalkulacja, kwestia suchych faktów. Nie dla zdrowia zjechałem do tego kraju. A zresztą nie możemy nawet kiwnąć palcem. Jeżeli tak ma być, tym gorzej dla dziewczyny i basta! To obyczaj jej ludu, a myśmy tylko przypadkiem trafili na tę właśnie historię. Indianie robią takie rze czy od tysięcy lat, robią i teraz, a będą robić aż do skończenia świata. No i nie są naszymi rodakami — ani oni, ani ta dziewczyna. Posłuchaj! Stanowczo trzymam z Wertzem i Hawesem, i...

Psy zawarczały nagle. Zbiły się w gromadę w pobliżu ludzi. Sigmund urwał w pół słowa, zaczął nasłuchiwać chrzęstu licznych rakiet śnieżnych. Indianin po Indianinie wkraczał w krąg światła — wysocy, posępni, odziani w futra, niemi. Cienie ich płąsały po śniegu w dziwnym, groteskowym tańcu. Czarownik przemówił gardłowo do Sipsu. Twarz miał upstrzoną plamami farby. Na ramionach — wilczą skórę. Groźna paszcza szczyrzyła białe kły nad głową dzikiego człowieka. Nikt inny nie odezwał się słowem. Kopacze milczeli. Sipsu podniosła się, przypięła rakietę.

— Żegnaj, o mój panie — powiedziała do Hitchcocka.

Ale mężczyzna, obok którego siedziała przed chwilą na sankach, nie poruszył się, nie uniósł nawet głowy, kiedy Indianie niknęli jeden po drugim w ubielonej puszczy.

Hitchcock miał znaczną zdolność przystosowywania się do warunków, lecz — w przeciwieństwie do wielu mężczyzn — nie wpadł jakoś na pomysł związku z kobietą Północy. Jego szeroki kosmopolityzm nie podszeptał mu nigdy małżeństwa z pierwotną córą ziemi. Gdyby się tak stało, filozofia życiowa Hitchcocka nie byłaby zawady. Ale tak się nie stało. A Sipsu! Z przyjemnością gawędził z nią przy obozowym ognisku, nie tak jednak jak mężczyzna świadom tego, że jest mężczyzną i że obok siebie ma kobietę. Nie inaczej mógłby rozmawiać z dzieckiem, tak jak człowiek jego pokroju rozmawiałby na pewno, jeżeli nie z innych powodów, to dlatego, by urozmaicić monotonię bezbarwnego życia. Oto cała tajemnica. Ale mimo amerykańskiego pochodzenia i wychowania w Nowej Anglii Hitchcock mocno odczuwał tętno gorącej rycerskiej krwi i często handlowa strona życia nie miała dlań znaczenia, a nawet stała w sprzeczności z głębszymi impulsami.

Teraz siedział w milczeniu z pochyloną głową, a w jego wnętrzu wzbierała organiczna siła,

większa niż on, równie wielka jak jego rasa. Od czasu do czasu Wertz i Hawes zerkali nań z ukosa. Ich zachowanie zdradzało lekki, lecz całkiem widoczny niepokój. Podobny nastrój udzielił się Sigmundowi. Hitchcock był silny i kompanom dał poznać swoją siłę w wielu przypadkach ich awanturczego życia. Nic więc dziwnego, że bali się po trosze i byli bardzo ciekawi, co przedsięwzięcie, gdy zbudzi się do czynu.

Ale Hitchcock milczał długo; ogień już dogasał, kiedy Wertz prze ciągnął się, ziewnął i oznajmił, że pora na spoczynek. Wtedy Hitchcock wstał, wyprostował się dumnie.

— Oby Bóg strącił wasze dusze w najgłębszą otchłań piekła, wy tchórze o kurczących sercach. Skończyłem z wami!

Mówił dość spokojnie, ale siła dźwięczała w każdej sylabie, a ton głosu aż nazbyt dobrze zwiastował niezłomne postanowienie.

— No, jazda — ciągnął. — Rozliczymy się tak, żeby wam nie była krzywda. Decydujcie sami, co i jak będzie. Według naszej umowy należy do mnie czwarta część działki. Z próbnych misek zebraliśmy dwadzieścia pięć czy trzydzieści uncji. Złoto jest w worku. Przynieście no wagę. Zaraz zrobimy podział. A ty, Sigmund, odlicz czwartą część zapasów żywności i odstaw żarcie na bok. Cztery psy są moje, ale potrzeba mi dwóch czwórek. Za psy odstąpię wam swój udział w sprzęcie obozowym i narzędziach górniczych. Dorzucę jeszcze moje sześć czy siedem uncji i zapasowy karabin z amunicją. Co wy na to?

Trzej wspólnicy odeszli na stronę, półgłosem odbyli naradę. Kiedy wrócili, Sigmund przemówił w imieniu wszystkich:

— Sprawiedliwie podzielimy się z tobą, Hitchcock. Przypadnie ci czwarta część wszystkiego, ani mniej, ani więcej. Własność swoją możesz zabrać albo zostawić. Ale psy są nam równie potrzebne jak tobie, toteż dostaniesz cztery i basta. Jeżeli nie chcesz wziąć swego udziału w sprzęcie i narzędziach... Ha, trudno, twoja sprawa. Jak ci się podoba. Możesz zabrać albo zostawić.

— To się nazywa litera prawa! — zadrwił Hitchcock. — No, jazda! Zgadzam się na wszystko. Tylko ruszajcie się żywo. Tym lepiej, im szybciej wydostanę się z obozu i uwolnię od jego robactwa.

Podziału dokonano bez dalszych wyjaśnień. Hitchcock osznurował sanki ze swoim szczupłym dobytkiem, wybrał cztery psy i nałożył im uprząż. Nie ruszył swojej części sprzętu i narzędzi, ale rzucił na sanki sześć psich szorów i groźnym spojrzeniem wyzwał byłych wspólników, aby się sprzeciwili. Ale wspólnicy wzruszyli tylko ramionami i patrzyli milcząco, jak Hitchcock niknie w puszczy.

Człowiek czołgał się na brzuchu po śniegu. Na wszystkie strony sterczały wigwamy indiańskiej wioski. Zbudowane były z łosiowych skór. Tu i ówdzie zgłodniały pies wył żałośnie lub warczeniem wymyślał sąsiadom. Raz jeden z nich zbliżył się do pełznącego człowieka, ale ten zamarł w bezruchu. Pies podszedł i zaczął węszyć. Później przysunął się jeszcze bliżej, aby dotknąć nosem nie znanego kształtu, którego nie było w tym miejscu o zmierzchu. Wówczas Hitchcock (on to był bowiem) ożył nagle, podniósł się i dłonią bez rękawicy chwycił dziką bestię za kudłate gardło. Pies skonał w żelaznym uścisku. Ze złamanym karkiem został pod blaskiem gwiazd. Człowiek popęzłał dalej.

Posuwając się w taki sposób, Hitchcock odnalazł siedzibę wodza. Długo leżał na śniegu nasłuchując dźwięków dobywających się zza łosiowych skór. Starał się umiejscowić Sipsu. Wigwam był pełen ludzi, a ton ich rozmów dowodził, że wszyscy są bardzo wzburzeni. Wreszcie podsłuchujący złowił uchem głos dziewczyny. Czołgając się okrążył namiot i legł w takim miejscu, że tylko skóra dzieliła go od Sipsu. Zaczął rozgrzebywać śnieg i ostrożnie, powoli wsunął do namiotu głowę i barki. Kiedy cieplejsze powietrze wnętrza owiało mu twarz, znieruchomiał i czekał, mając

jeszcze na dworze nogi i znaczną część tułowia. Chwilowo nie widział i nie śmiał ruszyć głową. Po jednej stronie miał pęk skór. Czuł ich zapach, lecz ostrożnie pomacał ręką, aby się upewnić. Po drugiej stronie prawie dotykał twarzą futrzanego ubioru, który niewątpliwie okrywał ludzkie ciało. To powinna być Sipsu. Hitchcock wolał oczywiście, żeby dziewczyna znów się odezwała, lecz i tak postanowił zaryzykować.

Słyszał podniesione głosy wodza i czarnoksiężnika. W odległym kącie kaprysiło przed snem głodne dziecko. Hitchcock odwrócił się na bok i ostrożnie uniósł głowę. Ocierał się policzkiem o futrzany ubiór. Zaczął nasłuchiwać oddechu jego właściciela. Tak, to była kobieta. Teraz pora działać!

Powoli, mocno przytulił się do jej boku. Poczuł, że wzdrygnęła się, gdy jej dotknął. Znowu czekał cierpliwie. Wreszcie ręka opadła na jego głowę, oparła się o bujną czuprynę. Po chwili odwróciła jego twarz ku górze i Hitchcock spojrzał w oczy Sipsu.

Była zupełnie spokojna. Od niechcenia zmieniła pozę. Łokciem poszukała pęku skór, oparła się o nie całym ciałem i poprawiła pelerynę z wiewiórczych skórek. Hitchcock był teraz zupełnie niewidoczny. Mijały chwile. Dziewczyna poruszyła się znów od niechcenia i przegięła w stronę intruza tak, że twarz jego znalazła się między jej piersią i ramieniem, a kiedy nachyliła głowę, dotknęła uchem warg Hitchcocka.

— Jak się trafi sposobność, zmykaj z wigwamu — szepnęła. — Idź . przez śnieg z wiatrem do grupy sosen nad kolanem strumienia. Znajdziesz tam moje psy i sanie naładowane do drogi. Dzisiejszej nocy pojedziemy w stronę Yukonu, a że musimy jechać prędko, łap za kark psy, które po drodze nawiną ci się pod rękę, i wlecz je do sań nad kolanem strumienia.

Dziewczyna odmówiła nieznacznym ruchem głowy, lecz oczy jej błysnęły radośnie, bo była dumna, że mężczyzna okazuje jej tak wiele względów. Ale Sipsu, podobnie jak wszystkie kobiety jej rasy, przyszła na świat, by ulegać męskiej woli, toteż Hitchcock rzuciwszy władcym tonem: „Pójdiesz ze mną!” choć nie otrzymał odpowiedzi, pewien był, że jego rozkaz stał się prawem.

— A nie kłopotz się o uprzęż — dodał sposobiąc się do odwrotu. — Będę czekał. Tylko nie marnuj czasu. Dzień depce po piętach nocy i nie marudzi dla przyjemności człowieka.

W pół godziny później, kiedy Hitchcock przytupywał i zabijał ręce koło sanek, nadeszła Sipsu wiodąc za karki dwa tęgie wilczury. Na ich widok psy zaprzężone do sanek popadły w wojowniczy zapal i uspokoiły się dopiero pod razami rękojeści bicza. Hitchcock zbliżył się do wioski z wiatrem, a więc hałas był dlań najgroźniejszy, gdyż mógł łatwo zdradzić Indianom obecność intruza.

— Załóż je w ostatnią parę — rozkazał, dziewczynie, gdy ubrała indiańskie psy w szory. — Chcę mieć na przodzie swoich przewodników.

Ale kiedy Sipsu wykonała polecenie, przeprężone zwierzęta rzuciły się na nowych przybyszów i chociaż Hitchcock nie szczędził kolby karabinu, straszliwy zgiełk uderzył w uszpaną wioskę.

Teraz będziemy mieli psów aż za dużo — mruknął posępnie dobywając siekiere z osznurowanych sanek. — Ubieraj w szory każdego, którego ci rzucę, a w wolnych chwilach broń zaprzęgu.

Postąpił kilka kroków, stanął między dwoma sosnami. Czekał na wioskowe psy, których jazgot zakłócał już spokój nocy. Rosnąca szybko ciemna plamka zarysowała się na spowitej w mrok, białej płaszczyźnie śniegu. Był to przodownik sfory. Sunął wielkimi skokami i na wilczą modłę wyciem podawał kierunek współbraciom. Hitchcock stał w cieniu. Kiedy pies go mijał, wyciągnął ręce, wpół susa chwycił wilczura za przednie łapy, zakręcił i obalił na ziemię. Następnie wymierzywszy mu dobrze obliczony cios za uchem rzucił zdobycz Sipsu. Kiedy dziewczyna zakładała szory, Hitchcock z siekiere w ręku bronił przejścia między drzewami, przed nim zaś kłębiło się kudłate stado połyskując białymi kłami i ognikami ślepiów. Sipsu pracowała szybko. Kiedy skończyła, mężczyzna

wyskoczył z ukrycia, porwał drugiego psa, ogłuszył i rzucił towarzyszce. Wypad taki powtórzył trzykrotnie, a kiedy u sanek stanął rząd dziesięciu warczących wilczurów, zawołał:

— Dosyć!!

Ale w tej chwili młody szybkonogi Indianin, który wyprzedził całe plemię, skoczył między psy i brodząc pośród sfory, grzmocąc pięściami na prawo i lewo pokusił się o zdobycie przejścia. Uderzony kolbą karabinu padł na kolana i osunął się na bok. Cios Hitchcocka widział czarnoksiężnik, który co tchu biegł śladem młodego zucha.

Hitchcock krzyknął do Sipsu, żeby ruszała z miejsca. Na jej przeraźliwe „C z u u k!” oszalałe ze strachu bestie pomknęły cwałem i tak szarpnęły saniami, że dziewczyna omal z nich nie spadła. Tajemnicze moce były najwidoczniej zagniewane na czarnoksiężnika, bo w tej właśnie chwili kazały mu znaleźć się na szlaku. Pierwszy z psów podciął mu rakiety i zwałił biedaka z nóg. Reszta stratowała go w biegu, a sanie podskoczyły na żywej przeszkodzie. Ale Indianin zerwał się błyskawicznie i noc mogłaby mieć odmienny finał, gdyby nie Sipsu, która smagnawszy w tył długim biczem wymierzyła prześladowcy oslepiający cios po oczach. Hitchcock, który biegł za saniami, żeby je dopędzić, zderzył się na środku szlaku ze ślaniającym się z bólu czarnoksiężnikiem. Dzięki temu ów prymitywny teolog wrócił do wigwamu wodza z bogatszym zasobem wiedzy. Zapoznał się z pięścią białego człowieka, kiedy więc zabrał głos na radzie, ział nienawiścią do wszystkich białych.

— Wstawajcie, nygusy, wstawajcie! Żarcie będzie gotowe, nim zdążycie wskoczyć w buty!

Dawid Wertz odrzucił niedźwiedzią skórę, usiadł i ziewnął szeroko. Hawes przeciągnął się. Zaczął sennie masować zdrętwiałą rękę.

— Ciekawe, gdzie Hitchcock dziś nocował! — bąknął sięgając po mokasyny. Były zupełnie sztywne, toteż Hawes chcąc je rozgrzać powędrował w skarpetach do ogniska.

— Chwała Bogu, że sobie poszedł — dodał — chociaż robotny był z niego chłop, bardzo robotny.

— Aha. Tylko zanadto lubił rządzić. To jego główna wada. Tym gorzej dla Sipsu. Myślisz, że bardzo się w niej kochał?

— Chyba nie. Chodziło o zasadę i tyle. Hitchcock był zdania, że to draństwo, i miał rację. Ale to nie powód, żebyśmy się mieli wtrącać, a później zmykać przed czasem za dział wodny.

— Zasady są dobre na właściwym miejscu, ale lepiej zostawić je w domu, kiedy człowiek wybiera się na Alaskę. Może nie mam racji?

Wertz stanął obok przyjaciela i obydwaj zajęli się rozgrzewaniem zamarzłych mokasynów.

— A może ty uważasz, że powinniśmy przyłożyć do tego ręki?

Sigmund pokręcił głową. Był bardzo zajęty. W garnku z kawą podnosiła się piana czekoladowej barwy. Boczek trzeba było przewrócić na patelni. Ponadto Sigmund dumał o dziewczynie z oczyma roześmianymi jak morze w lecie i śpiewał półgłosem:

Jego kamraci roześmieli się do siebie, przestali gadać. Minęła siódma, ale do świtu zostały jeszcze trzy godziny. Zorza polarna zeszła z nieba i obóz stanowił jasną oazę pośród gęstych, nieprzeniknionych mroków. W tym świetle wyraźnie rysowały się sylwetki trzech mężczyzn. Sigmund zaczynał właśnie ostatnią strofę starej piosenki. Ośmielony ciszą podniósł głos:

Za roczek, za roczek, gdy grona dojrzeją...

Wtem noc zadrżała od bezładnej strzelaniny. Hawes jęknął, spróbował się wyprostować i upadł. Wertz z opuszczoną głową podparł się łokciem. Zakasłał cicho i ciemny strumień buchnął mu ustami. A Sigmund? Złotowłosemu Sigmundowi uwięzła w gardle nuta piosenki, wyrzucił w górę ręce i runął twarzą w ognisko.

Czarnoksiężnik miał tęgo podbite oczy i humor nienajlepszy. Posprzeczał się z wodzem o strzelbę

Wertza, z worka fasoli wziął więcej, niż mu się należało, a że przywłaszczył sobie i niedźwiedzią skórę, wywołał niezadowolenie współplemieńców. Na domiar złego chciał zabić psa Sigmunda (dar błękitnookiej dziewczyny), ale owczarek umknął, a czarnoksiężnik wpadł do wykopanej przez białych jamy i o kubeł wybił sobie ramię. Po dokładnym złupieniu obozowiska wojownicy wrócili do wigwamów, gdzie nastąpiła wielka radość wśród kobiet. Ponadto stado łosi zeszło z południowego działu wodnego prosto na łowców, wobec czego czarnoksiężnik zyskał jeszcze większą sławę, a ludzie szeptali między sobą, że na pewno zasiada w radzie bogów.

Kiedy już wszystko minęło, owczarek przywłókł się do wyludnionego obozu, gdzie cały dzień i noc był nad trupami. Później przepadł, lecz za parę lat indiańscy łowcy zauważyli zmianę rasy leśnych wilków. Coraz częściej trafiały się okazy znaczone jasnymi plamami i łatami, jakich uprzednio żaden wilk nie nosił.

Przygotowano na podstawie bookini.pl